



Nr. 45.

6-go Listopada

1913.

Pierwsza sprawa p. Steina.

Twarz pana M. Steina opływała w blaskach szczęścia jak... pieróg w maśle.

Dopiero wczoraj otworzył kancelaryę adwokacką a już dzisiaj ma sprawę, pierwszą sprawę! i to nie byle jaką!

To też z zajęciem słucha opowiadania wdowy, pani O. Markus, i z senatorską powagą a grzecznością kandydata na urząd polityczny, zadaje swojej klientce pytania, na które ona odpowiada grobowym głosem, wdychając ciężko i w skutek pomyłki ocierając co chwilę nos, zamiast... oczu.

— Tak — mówi pani Markus — jestem biedną, nieszczęśliwą wdową, a biednego Billego kolej zabiła!... (Tu ciężko westchnęła i... nos utarła).

Pan Stein zamyślił się na chwilę a potem indagował dalej:

— Którego dnia to się stało?

— 16-go lipca, pamiętam jak dzisiaj!

— I kolej nie zapłaciła pani żadnego odszkodowania?

— Ani złamanego centa!

— I nie próbowała się z panią zgodzić?

— Nawet psa na oczy nie widziałam! Nikt od nich do mnie nie przychodził!

— Hm... przepraszam panią... A czy pani mąż czasem hm... nie... ten tego? — zapytał p. Stein trochę niepewniejszym głosem, wskazując palcami na gardło.

— Niby — co?

— Chciałem się tylko dowiedzieć, czy mąż pani, tak, w dobrym humorze, czasem... z przyjaciółmi, nie lyknął sobie jednego za dużo?

— A co też pan powiada! Całe miasto poświadczy, że mój nieboszyk był trzeźwym człowiekiem, że nawet należał do Towarzystwa wstrzemięźliwości! A zresztą co to ma do rzeczy?

— No, nic, widzi pani, ale obrońca zawsze wszystko musi wiedzieć, dlatego się pytam.

— A więc niech się pan pyta! Co pan jeszcze chce wiedzieć?

— Proszę mi opowiedzieć szczegółowo, jak się to wszystko wydarzyło?

Pani Markus westchnęła znowu ciężko, otarła w zapomnieniu rękawem nos i jęknęła:

— Co tu dużo mówić! Było już nad wieczorem, gdy Billy, jak zwykle wracał do domu. Był jakiś zadumany, smutny i kiwał na obie strony głową, jakby nieszczęsny przeczuwał swój los okropny...

Po nowem westchnieniu i utarciu nosa ciągnęła pani Markus dalej swoje opowiadanie tak:

— Biedaczek... wszedł na „sztrekę” i nagle zatrzymał się. Spojrzałam przez okno i mało nie omdlałam, bo zobaczyłam, że kolej nadjeżdża i znajduje się już tylko o kilkaset metrów. Pragnąc uratować Billego, skoczyłam przed dom i zaczęłam wymachiwać rękami i krzyczeć w niebogłosy. Ale on zwrócił głowę w stronę pociągu i patrzył nieruchomo, jakby go chciał zapytać:

— Czy mnie nie wolno przejść przez „sztrekę”, gdy wracam do domu?

— Niestety! nic to biedakowi nie pomogło, bo w minutę później pociąg buchnął w Billa, rozszarpał go na drobne kawałki tak, że kawałek nogi znaleźliśmy aż o 100 metrów od miejsca wypadku, A maszynista nawet nie zagwizdał!

Tu wdowa Markus otarła nie tylko nos, ale nawet oczy, a pan adwokat zawołał radośnie:

— Nie zagwizdał? To ważna rzecz, to dużo pomoże! A są na to świadkowie?

— Cały tuzin! — a nawet palacz i sam maszynista poświadczy!

Po zapisaniu sobie nazwisk świadków i zapewnienia niepocieszonej wdowy Markus, że sprawa już jest tak, jak wygrana, wziął się nasz młody adwokat gorąco do pracy. Odwiedził wymienionych świadków i był w 7-em niebie, bo wszyscy potwierdzali słowa niepocieszonej wdowy i nawet maszynista przyznał, że już kilka razy z przyczyny Billa musiał zatrzymywać na tem miejscu pociąg, ale tego mu już było za dużo, więc umyślnie nie gwizdał — a Bill dostał to, co mu się dawno należało.

Pan Stein zacierał ręce i mruczał radośnie: Pierwsza moja sprawa! pierwsza! a taka ważna i... na pewne wygrana! — Jakież też zrobi oczy mój przeciwnik, Kerner, który się odzywał, że ja tu

nie mam co robić. Hm! Jaki to wdzięczny temat!... Maż zabity!... wdowa... sieroty... a w dodatku... maszynista nie gwizda!!

Zostawmy radość, sny i marzenia pana Steina dla niego, a idźmy do sali sądowej, bo oto nadeszła chwila oczekiwana, bo już wdowa Markus, ubrana w żałobie opiera się nieszczęśliwa na ramieniu swej starszej córki, świadkowie na miejscach i sędziowie i publiczność, a p. Stein wyświeżony, wygolony, ale w długim, czarnym surducie wygląda jak sędzia i jest już w środku mowy. Głos jego grzmi raz jak trąby jerychofskie, to znowu szmerze jak szmer strumyka i dziwnym drżeniem przejmuje słuchaczy i jakieś smętne budzi uczucia...

Słuchajcie tylko, bo oto prowadzi rzecz dalej:

— I któż z was, panowie, nie wie, co to znaczy stracić męża, stracić ojca? I któż z was nie uронił lży serdecznej nad nieszczęśliwą wdową, nad jeszcze nieszczęśliwzemi sierotami, pozostawionymi bez opieki ojca, na łaskę neliłościwego losu? Czyż milionowym kolejom mają takie zbrodnie ująć bezkarnie? Czyż już niema na świecie miłosierdzia i sprawiedliwości? O, spojrzcie razem ze mną na tę smutną, w żałobie odzianą wdowę, na te niepocieszone i opuszczone sieroty, zapłaczcie razem ze mną i nagroǳcie im krzywdę, jaką im wyrzuciła kolej, zabijając najlepszego męża, ojca, opiekuna, żywiciela i...

Sędziowie wzruszyli się na prawdę mową p. Steina i już niektórzy zaczęli... wzdychać, gdy wtęm podniósł się adwokat Kerner i przemówił donośnym głosem.

— Mój szanowny kolega, będąc młodym, zapomniał o dowiedzeniu się o wszystkich szczegółach. Otóż dla wiadomości jego i prześwietnego sądu oznajmiam, że Bill nie był mężem pani Markus, ani ojcem tych sierot, gdyż ten umarł naturalną śmiercią i miał wspaniały pogrzeb, na którym ja sam byłem obecnym. A kolej zabiła Billa, starego i w dodatku ślepego na jedno oko kozła pani Markus. Był on przytem samotny i nie pozostawił po sobie ani żony, ani dzieci.

W pana Steina jakby piorun trząsł, ale zanim zagrzniały homeryczne śmiechy publiczności, już go w sali nie było. Tej samej jeszcze nocy wyjechał do innego miasta, a z pierwszej jego sprawy pozostało mu tylko trochę doświadczenia i to, że mu się czasem przyśnił... stary i ślepy na jedno oko kozieł... Bill.



Z JESIENNYCH MARZEŃ.

Kiedy patrzę na te liście,
Co z drzew leca całą zgrają,
Czemu — pytam oczywiście —
Marki z drzew tak nie spadają...?



DOMYŚLNY SŁUGA.

— A czego posłaniec chce?
— Przyniosłem pańskiemu jaśnie panu zaproszenie na bal.
— No zostawcie, ale zdaje mi się, że jaśnie pan na bal nie pójdzie, bo wczoraj umarł.

DZIESIEĆ PRZYKAZAŃ.

1. Kochaj swego bliźniego — mniej od siebie.
2. Czyń dobrze dla swego żołądka, obawiaj się tylko kryminału i unikaj — skandalu.
3. Dozwolonem jest ci wszystko — co nie jest kodeksem wzbronione.
4. Nie sam czyn podły — ale zdradzenie się z nim, hańbi.
5. Sprzedawaj się i szachruj, aż do najpóźniejszej starości.
6. Principis obsta! Przeciwdstawiaj się wszelkim zasadom honoru i uczciwości.
7. Honorowego udawaj a będziesz brany za uczciwego.
8. Miej jedną zasadę — to znaczy żadnej.
9. Moralność jest polityką praktycznego życia. Jest ona sztuką — a największą sztuką jest sztuka życia — to też drzej łyka gdzie się tylko zdarzy.
10. Pamiętaj, że cnota, jest to, usiłowanie bycia lepszym, niż natura ludzka dozwala, jest wytwór chorobliwy, przedrażnionych i ascetycznych waryatów.



WYKRECIŁ SIĘ.

— A czemu to pan się nie żeni, panie radco? — pyta pani, rzucając nieznacznie okiem na swoją obok stojącą córę.

— Pani dobrodziejko, — odpowiada radca, — małżeństwo bywa albo niebem, albo piekłem. Na niebo nie zasługuje, taki grzesznik, jak ja, a do piekła któżby się pchał dobrowolnie?



NA ŚLEDZTWIE.

— Mówisz, że nie kradniesz, a na czem nocę spędzasz?

— Różnie, panie sędzio.

— Gadać więc na czem?

— Ano, czasem na sienniku, czasem znów na podłodze, jak tam człowiekowi wypadnie.



W WOJSKU.

Feldwebel (do rekruta): Rekrut Pućka, czy ty z natury taki czerwony, czy tylko ze wstydu, żeś taki głupi?



NAJWYŻSZA POGARDA.

— Papo, kup mnie bacykl.
— Nie mogę, nie mam pieniędzy.
— I takie coś nazywa się papą?



NIESZCZĘŚCIE.

Mój przyjaciel Karol zatykał sobie uszy rękoma, gdy kto w jego obecności wymawiał słowo: „wuj“.

Dlaczego, tego nikt nie wiedział i nikt go też pytać nie śmiał, bo na najłżejszą o tem wzmiankę, przybierała twarz jego wyraz tak groźny, że zaczynało zaraz rozmowę o czem innem.

Ale raz, po wypiciu kilku kieliszków dobrego wina, stał się nieco przystępniejszym i sam opowiedział historię swego życia o tyle, o ile „wuj“ w niem odgrywał rolę.

I rzecz tak się miała:

— Posiadałem bardzo bogatych krewnych, pomiędzy tymi dwóch wujów, których nie znałem, lecz po których powinienem był otrzymać znaczną sukcesyą. Przed kilku laty, — nie miałem wówczas ani grosza przy sobie i myślałem już o tem, aby odebrać sobie życie, — otrzymałem pewnego dnia depeszę, wzywającą mnie do umierającego, a mnie nieznanego wuja. Postanowiłem naturalnie jechać natychmiast.

Ale za co kupić bilet? Całym moim majątkiem był los kupiony przed pięciu miesiącami. Ostatnie ciągnięcie miało się odbyć za kilka tygodni. Nie namyślając się długo, sprzedałem los, kupiłem bilet i pojechałem do Warszawy.

Niestety, przybyłem za późno! Gdy wszedłem do mieszkania mego wuja, powiedziano mi, że umarł przed godziną i że innemu siostrzeńcowi cały zapisał majątek!

Można sobie wyobrazić moje wzburzenie. Dалеka podróż daremna, los sprzedany i co najgorsze — byłem wydziedziczony!

Nazajutrz wróciłem do domu. Po drodze pokłóciłem się z jakimś starym jegomością w wagonie. Nie wiem już, o co chodziło, pamiętam tylko, że byłem dla niego bardzo niegrzeczny i że wyczerpałem cały mój zasób słów bardzo doraźnych i niezbyt wykwinnych. Ale zanadto byłem zirytowany mem nieszczęściem!

Przybywszy do mego skromnego mieszkania, znalazłem list mego drugiego wuja. Donosił mi, że mając bardzo wiele pieniędzy, a mało krewnych, chce mi wszystko zapisać. Będąc jednak starym kawalerem, nudzi się sam na wsi i dlatego na ostatnie kilka lat życia zamierza przenieść się do Bytomia i zamieszkać u mnie.

— Dzięki Bogu! — pomyślałem. — Bogaty wujaszek nie znajdzie lepszej opieki i wygody jak u mnie!

Samo przeznaczenie wynagradzało mi pierwsze moje niepowodzenie.

Dwa dni później chodziłem po ulicach, nie myśląc o niczem, a raczej zajęty o moim szczęściu, gdy nagle podnosząc głowę, spojrzałem w okno wystawne kolektora losów. I równocześnie przypomniało mi się, że mój sprzedany los miał numer 155 547. Dziś było ciągnięcie!

Nużby ten los wygrał.

Skręciłem szybko w boczną ulicę i pobiegłem do hotelu S., gdzie jeden ze stołowników los ode mnie kupił.

Ale losu nie dostałem już z powrotem. Stołowy sprzedał go jakiemuś panu, który wczoraj ze wsi przyjechał. Pan ów mieszkał pod numerem 13. Fatalna liczba!

— Proszę mnie zameldować u tego pana, — rzekłem.

— Żałuję bardzo, nie ma go w pokoju. Wyszedł, aby odwiedzić krewnego.

— Smutny i przygnębiony wróciłem do domu. Na stole leżała karta mego wuja. Donosił mi, że mieszka w hotelu F. pod numerem 13, i prosi mnie na jutro do siebie.

— Mój Boże! Wuj kupił mój los!

Wieczorem tego dnia wyczytałem w gazetach, że wielki los wyszedł na numer 155 547!

Nieszczęście!

Można sobie wyobrazić, co się w sercu mojem działo! Bogaty, milionowy wuj wygrał wielki los na mój numer! Jedyną pociechą było to, że miałem wszystko po nim odziedziczyć!

Na drugi dzień poszedłem do wuja. Po godzinie czekania w zimnym kurytarzu, otworzyły się nareszcie drzwi i jakiś stary mężczyzna, którego twarz dziwnie mi się znajomą wydawała, stanął na progu.

Po chwili poznałem go.

I myślałem, że się w ziemię zapadnę!

Lecz on poznał mnie, niestety, także!

Jakając się, powinszowałem mu wygranej, ale po pierwszych zaraz słowach...

— Ach, to pan jesteś moim siostrzeńcem! — krzyknął rozgniewany, — pan — z którym chciałem mieszkać razem! No, myślę, że pan sam uznasz to za niemożliwe! Z takim zawadyką — dziękuję! Nienawidzę takich ludzi jak pan!

I zatrzaskał mi drzwi przed nosem.

Zostałem po raz drugi wydziedziczony. Mój wuj był tym samym panem, dla którego byłem tak niegrzeczny wracając z Warszawy...

O wuju tym nic już nie słyszałem! Nie możecie się dziwić, że wyraz „wuj“ jest dla mnie przykry! Zawsze miałem nieszczęście z wujem.

I na pocieszenie wypił jeszcze jeden kieliszek wina.



POBOŻNE ŻYCZENIE.

— Więk usposabia łagodnie i mięso...

— O, dlaczego to kurczę, które leży przedemną na talerzu, nie doszło jeszcze do pewnego wieku?



ZAWSZE INTERES.

— Panie Magenfish, czy pan by się nie puścił z tym balonem?

— Nu, na co mnie to?... Ja tam w powietrzu nie mam moje dłużniki!



W SZKOLE.

Raz nauczyciel objaśniał z biblii...

Jaś, nieuważny podczas tej lekcji,

Spytany: Kto to stworzył ziemię, morze?...

Odrzekł: To nie ja! panie profesorze!



STUDENCKIE FIGLE.

W Warszawie wszedł wesoły student do winiarni, znanej z doborowych win i cen wygórowanych. Gdy zażądał cennika win, spojrzał na niego gospodarz badawczo, niedowierzając bardzo filuternej jego minie, ale nic mu nie pozostało, jak podać cennik i kazać mu przynieść butelkę najdroższego wina, którą sobie obrał. Student pił, przeglądając gazety, aż się butelka wypróżniła, podczas gdy gospodarz nie spuszczał go z oka i teraz do niego się zbliżył.

— Chciałbym zapłacić, Panie — rzekł z dobrą miną — ale trzeba Panu wiedzieć, że umiem też inaczej płacić jak brzęczącą monetą. Cobyś pan na to powiedział, gdybym panu zapłacił złotą, nieocenioną piosnecką?

Gospodarz poprosił go, aby sobie żarów i drwin nie pozwalał, ale zapłacił, lecz student nie ustąpił.

— Przecież to od pana zależy, panie dobrodzieju — rzekł — czy pan piosneckę moją chcesz przyjąć w miejsce zapłaty lub nie. Jeżeli panu coś zaśpiwam, a pan sam powiesz — „to mi się podoba” — natenczas nie będę potrzebował zapłacić, a jeżeli pan powiesz: „to mi się nie podoba” — wtenczas pan dostaniesz pieniądze.

— Jeszcze raz proszę nie pozwalać tu sobie żar-ców! Zapłać pan i basta!

Obecni goście, których ta rozmowa coraz więcej zaczęła bawić, winieśli się w sprawę i poczęli gospodarza namawiać, aby przystał na ten żart, wszakże przy każdej piosence wolno mu powiedzieć — „to mi się nie podoba”. Gospodarz dał się przekonać i przystał, a student począł zaraz śpiewać:

Na dolinie zawierucha
Mokrym śniegiem dmie...

— To mi się nie podoba! — przerwał mu gospodarz.

Gdyby orłem być
Lot sokoła mieć...

Śpiewał znowu student.

— I to mi się nie podoba! — rzekł gospodarz. Teraz student rozpoczął z zapalem:

Szumia jodły na gór szczycie,
Szumia sobie w dal...

— A to mi się wcale nie podoba. Zapłać pan i kwita.

— No, jeżeli się panu nawet to nie podoba, to już niema rady! — rzekł student z bardzo smutną miną, wydobyl z kieszeni sakiewkę i począł na stół liczyć pieniądze, nucąc sobie po cichu:

Zapłać, zapłać, miły bracie,
Bo gospodarz czeka na cię!...

— Tak, to mi się podoba! — rzekł gospodarz, widząc pieniądze na stole i zapominając zupełnie o układzie.

W tej chwili student zgarnął pieniądze, wezwał gości na świadków, że sumiennie dopełnił układu i z powagą wyszedł z winiarni. Gospodarz z otwartymi ustami patrzył osłupiały za odchodzącym, podczas gdy goście śmiali się do rozpuku.



Dom pewnego kupca znanego z nieuczynności i skąpstwa, nosił nazwę: „Do dwunastu Apostołów”. Pewien dowcipniś przechodząc raz pewnego około północy obok domu, nagle zadzwonił. Kupiec wyjrawszy przez okno, z gniewem zapytał:

— Czego pan chcesz tak późno?

— Nic panie — brzmiała odpowiedź — chciałem się przekonać, czy Judasz jest w domu, a oto na szczęście widzę go w oknie w całej okazałości.

Sklonił się i odszedł.



Mąż do doktora: Niech pan doktor tylko zobaczy, jak żona moja mnie wyszykowała.

Doktor: Ale kobieto, czy się to nie wstydzicie obchodzić w taki sposób z mężem, który jest głową rodziny i głową waszą.

Kobieta: Ba, cóż, czyby mi nie było wolno poskrobać mej głowy?



— Dzień dobry wujowi! Ciesz się wuju, dostałem znowu ośm dni urlopu!

— Bój się Boga, chłopcze, ale ty masz djabłelne szczęście! No, ale na jakiejże podstawie dali ci urlop?

— Ano, powiedziałem, że wujaszek się powiesił i muszę jechać na pogrzeb celem uregulowania spadku...



— Ależ panie! zrobieś mi pan tak ciasny tużurek, że się w nim formalnie duszę!...

— To umyślnie, proszę pana dobrodzieja, żeby pan dobrodziej pamiętał o nieuregulowanym dotychczas rachunczku naszym.



Chłopiec (od szewca): — Jeżeli mnie majster jeszcze raz szarpać będzie za włosy, to sobie kupię maści na tępienie włosów i całą głowę posmaruję. A wtedy majster będzie miał — figę!



— Sześćset marek za operację?!... Ależ, doktorze, to stanowczo za drogo!...

— Trudno, proszę pani, trzeba korzystać z okazji; o porządną chorobę teraz trudniej, wszystko same... drobiazgi.

